

PAUza

Akademicka



Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 39

Kraków, 21 maja 2009

12 maja 2009 Profesor Andrzej Szczeklik otrzymał tytuł Doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podczas uroczystości wygłosił wykład, który publikujemy w pełnym brzmieniu. Tytuł pochodzi od redakcji PAUzy Akademickiej (Red.)

Łączy...

Cztery lata temu, w dzień święta Uniwersytetu Jagiellońskiego, 12 maja 2005 roku, doktorat honoris causa odbierał angielski poeta, laureat Nagrody Nobla, Seamus Heaney. Powiedział wówczas, z tej katedry: „W języku angielskim nazwa Uniwersytetu – *Jagiellonian* – brzmi jak niskie bicie dzwonu ze starej wieży. Oznajmia ono godzinę, lecz zarazem każe pamiętać o tym, co ponadczasowe”.

Lekarzowi to bicie dzwonu, ten wybijany rytm, przywodzi na myśl rytm i bicie serca, zwłaszcza tu, gdzie za sprawą *genius loci*, od wieków bije serce kultury polskiej. Uprzytamnia mi to wyraziście, rangę zaszczytu, jakiego dzisiaj dostępuję. Chciałbym zatem wyrazić wdzięczność Magnificencji i Wysokiemu Senatowi. Panu Profesorowi Jackowi Musiałowi dziękuję za laudację. Dziękuję również moim recenzentom i czynię to bez lęku, jaki towarzyszy doktorantowi, bo wiem, że publicznie, nie zadadzą mi dziś trudnych pytań.

W tym uroczystym dniu, myśl moja biegnie do tych, którym w życiu wiele zawdzięczam. Do Rodziców. Oni pierwsi dali mi poznać miłość i wszczepili wzorzec postępowania, tak iż kiedy stawałem na rozdrożu, bezwiednie niemal wybierałem drogę. Do Ojca, który uczył mnie medycyny. Do moich nauczycieli gimnazjalnych, do żony Marysi i dzieci naszych, do przyjaciół, tak licznie dziś zebranych, Do chorych wreszcie. A chorzy – prowadzą nas wprost do medycyny.

Jakże się medycyna, za mojego życia, zmieniła! Spójrzmy tylko.

Moje pierwsze lata studiów. Dziecięcy oddział za każdym. Mali pacjenci zamknięci w potężnych metalowych skrzyniach. Sterczą tylko główki i nóżki. Żelazne płuca cisną na drobne, porażone piersi, które nie potrafią same oddychać. Respiratorów nie znano, leczenia też nie. Nie ma dziś choroby Heine-Medina, próżno szukać żelaznych płuc.

Kończę studia. Do kliniki przywożą zawał serca, za zawałem. Kładziemy chorych do łóżek, zabraniaimy im wstawać przez cztery tygodnie, podajemy morfinę. To wszystko, czym dysponujemy. Ach, jeszcze upust krwi. Wielu, nie przeżywa. Dziś, kiedy rano w klinice, odbieram raport, dyżurny lekarz melduje mi: w nocy przyjęliśmy chorego ze świeżym zawałem, wykonaliśmy koronarografię, otworzyliśmy zamkniętą tętnicę wieńcową balonikiem i zabezpieczyliśmy trzema stentami. Po czterech dniach, ten chory, o własnych siłach, opuszcza szpital.

Mija kilka lat. Uczę się do specjalizacji. Czytam najprzeróżniejsze teorie powstania wrzodu żołądka, z którego powikłaniami leży co piąty, szósty chory na oddziale. Z tych samych teorii pytam w parę lat później, studentów. Ale upłynie dwadzieścia lat i okaże się, że przyczyną choroby jest bakteria. Wprowadzone zostaną arcyskuteczne leki i dziś trudno nawet takich chorych znaleźć – studentom do pokazania.

Jestem już po specjalizacji, po habilitacji. Nie wiem jeszcze, że w najbliższych latach wejdą do kliniki ultrasonografy i elektrokardiografy, a za nimi tomograf komputerowy, i wreszcie – rezonans magnetyczny. Ruszą badania kliniczne DNA, zejdziemy na głębszy poziom poznania, medycyna przyswoiwszy sobie biochemię – zacznie nabierać barw molekularnych. Czas życia w XX wieku wydłuży się o 25 lat.

Wreszcie, wchodzimy w nowe Milenium. Z niebotycznymi nadziejami. Marzymy o medycynie regeneracyjnej, o implantowaniu komórek macierzystych zdolnych zastąpić każdą – wydaje się – komórkę uszkodzonego narządu. I nawet problemy etyczne związane z klonowaniem czy użyciem zarodków ludzkich, odejdą zapewne niedługo w cień. Od niespełna bowiem dwóch lat, potrafimy reprogramować dojrzałe, wykształcone komórki, pobrane np. ze skóry twarzy, czy ręki, w komórki najmłodsze, macierzyste. Cofamy je do najwcześniejszego okresu ich istnienia, by zaczęły swoje życie od nowa.

Z tą chwilą w nauce dokonał się wstrząs. Jest on częścią eksplozji medycyny. Stajemy się świadkami zuchwałych prób odtworzenia fragmentów człowieka, w przyszłości – wytworzenia go poza siłami natury, *de novo*. Wszyscy ci, którzy tego próbowali, lub próbują, wśród protoplastów, mają Fausta. Dr Georg Faust, posiadłszy na niemieckich uniwersytetach wszelką wiedzę, jaka była komukolwiek dostępna, udał się około 1515 roku do Krakowa, aby opanować arkanę magii, alchemii, przywoływania umarłych i przewidywania przyszłości. Gdzie zawarł pakt z diabłem – nie wiadomo. Jak słusznie przypuszcza Christopher Marlowe, mógł to zrobić wszędzie, zważywszy na wszechobecność grzechu. Jednak to pewne, że pierwsze pertraktacje toczyły się kilkanaście kroków stąd. Jeszcze przed pół wiekiem, można było oglądać w Collegium Maius ślad szatańskiej łąpy, wypalanej na stole alchemika. Należała ona – kto wie? – do piekielnego psa Mefista, w którego paszczy zginął, jak wiadomo, potępiony doktor. Ale wcześniej,

(dokończenie – str. 2)